

ZA MAŁO ŻEBY ŻYĆ, ZA DUŻO ŻEBY UMRZEĆ

BAJONÓWKA c.d.

Męża wybrano prezesem Związku Osadników Wojskowych i sołtysem, ja byłam już prezeską Koła Gospodyń Wiejskich. Myśl o budowie szkoły coraz bardziej nie dawała nam spokoju.

W naszej osadzie – w samym jej środku na niedużym wzgórku, geometra wymierzył działkę, która miała wszystkim czterem osadom służyć za miejsce grzebania padłych koni. Ale nikt nigdy tego nie robił. Ziemia stała więc odłogiem i tylko pobliscy gospodarze mieli wygodę, bo wypasali tam swoje bydło. Miejsce to nadawało się do realizacji naszego pomysłu najlepiej. Poczyniliśmy pierwsze kroki: napisałam podanie i pojechaliśmy z nim do gminy odległej o 20 kilometrów. Wójtem był nasz znajomy – też osadnik – pan Chmiel, więc spodziewaliśmy się pomyślnego załatwienia naszego problemu. I tak też się stało. Po zapoznaniu się ze sprawą podanie podpisał.

W najbliższą niedzielę zwołałam zebranie i przedstawiłam naszą propozycję. Wszyscy zgodzili się na nią, ale nie było na ten cel pieniędzy. Postanowiliśmy zorganizować za-

bawę taneczną i dochód z niej przeznaczyć na budowę szkoły. Każda członkini Koła zobowiązała się przygotować do bufetu jakieś wyroby za 10-15 złotych. Zabawę urządziliśmy u nas w domu. Franuś początkowo nie chciał się zgodzić: dom świeżo wykończony, podłogi wymalowane – wszystko zostanie zniszczone. Ale nie było innego takiego miejsca i mąż musiał ostatecznie na to rozwiązanie przystać. Muzykanci też grali bezpłatnie – było ich trzech (dwaj synowie z ojcem) – także ludzie od nas. Zabawa udała się nadzwyczajnie, a czysty zysk wyniósł 640 złotych. Na owe czasy była to duża suma. Mąż zaraz pojechał do Raśnik i zakupił kamień pod fundamenty szkoły. Później wszyscy gospodarze, nawet kilku z Krechowiec zebrali się i w jeden dzień zwieźli całość. Po kilku tygodniach ponownie zorganizowaliśmy zabawę – na tych samych zasadach. Był akurat karnawał, osadnicy byli w przeważającej części ludźmi młodymi, a w dodatku odwieźli już tytoń, więc pragnęli trochę odetchnąć po pracy i zabawić się. Niestety, pamiętam, że ta zabawa wypadła

gorzej. Przyczyna? Zerwała się okropna zawieja śnieżna, że strach było z domu głowę wychylić. Ale i tak zarobiliśmy 240 złotych. Znowu mąż udał się do Równego i zakupił wapno. Zaraz jedni pojechali je odebrać, drudzy zaś kopali doły, inni jeszcze w wielkich beczkach nawieźli wody ze źródła i wapno od razu zlasowali. Początek był zrobiony. Był rok 1931.

Napisałam następne podanie do nadleśnictwa w Lubomirce o przydział drzewa na budowę szkoły – dostaliśmy gratis 60 metrów kubicznych. Osadnicy wszystko sprawnie zwieźli, ale ciągle brakowało pieniędzy. Pojechaliśmy z Franusiem do dowództwa jego macierzystego 45 Pułku po jakąś pomoc. Tam otrzymaliśmy większą gotówkę – nie pamiętam już ile. Wtedy wszyscy zachęcali do budowy szkół, kościołów. Każdy pomagał jak mógł, a i ludzie sami chętnie pracowali, bo to nasze na zawsze polskie, dla naszych dzieci. W sąsiedniej osadzie Krechowce też zdążyli pobudować dużą szkołę, sklep, mleczarnię i kwaszarnię kapusty. Pomagały w tym solidarnie wszystkie osady.

Mąż jako sołtys zwołał zebranie, podczas którego wybrano komitet. Jego zadaniem było kontrolowanie postępów w budowie. Z nastaniem wiosny 1932 roku, gdy śniegi zaczę-

ły tajać, najęliśmy traczy i robota ruszyła pełną parą. Do zimy szkoła była już pod dachem. Oficjalne otwarcie nastąpiło 15 sierpnia 1933 roku. Najpierw odprawiona została polowa msza święta, podczas której dokonano poświęcenia nowego budynku szkolnego, a po niej odbyła się huczna zabawa przy wtórze wojskowej orkiestry. Bawiono się aż do rana. Nasze dzieci miały odtąd swoją szkołę, a Koło i Związek mogły organizować w niej także swoje kursy i zebrania.

W lutym 1932 roku urodziłam nasze piąte dziecko – córkę, Zosię.

W gospodarstwie były już prawie wszystkie niezbędne budynki – chociaż ciągle pojawiały się kłopoty ze składowaniem jabłek. Sad rodził wspaniale, gorzej było z przechowywaniem owoców. Mąż należał do Związku Osadników Wojskowych. Związek ten organizował co roku Targi Wołyńskie w Równem. Trwały one zwykle około dziesięciu dni. Wtedy wiozło się wszystkie owoce, przyjeżdżali kupcy z różnych stron – czasami aż z Gdyni czy z Warszawy i zabierali wszystko. Ale jabłka przechowywane w piwnicy obok ziemniaków pękały, gnęły, nabierały nieprzyjemnego zapachu – dużo się marnowało. Mąż postanowił wybudować przechowalnię. Budowa trwała dwa lata, ale była to nasza chluba: wymiary 5

na 20 metrów, z dwóch stron półki, lufciki, podłoga wybetonowana, jednym słowem nowoczesna przechowalnia, dostosowana do wielkości i urodzajów naszego sadu. Pamiętam, że po skończeniu jej budowy Franus podrzucił czapkę do góry i powiedział: „Boże, dzięki Ci, to już ostatnia budowla w naszym gospodarstwie. Teraz można troszkę odpocząć, lepiej się ubrać, lepiej zjeść”.

Ale marzenia te nie miały się tak szybko ziścić. Wszystkie cztery osady zaczęły budować kościół w Krechowcach, bo tam było najlepsze – centralne położenie – na parceli zwanej Karłowszczyzną. Ja też należałam do komitetu. Budowa trwała trzy lata i ukończona zastała w 1936 roku. Kombatanci, żołnierze I wojny światowej, z całej Polski, ufundowali dla naszego kościoła kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Suknia kuta ze srebra, a korony ze szczerego złota. Na sukni wytłoczone były krzyże wszystkich pułków, które walczyły na Wołyniu (razem 82 krzyże), zaś w koronie Virtuti Militari. Gdy wieziono ten obraz, uruchomiono popularne pociągi z całej Polski i zewsząd jechali ludzie na te uroczystości. Najpierw obraz był przez tydzień w Równem, z tej okazji odbywały się tam misje święte. Później niesiono go cały czas pieszo do Krechowiec – przez miasto nieśli księża, potem osadnicy. Za

obrazem szły nieprzebrane, wielotysięczne rzesze ludzi. W Krechowcach także odbyły się misje.

W 1939 roku bolszewicy, gdy wkroczyli, zaraz w pierwszym dniu zaczęli rabować. Księża w tym momencie nie było, a obraz dzień przedtem potajemnie zabrali i wywieźli wojskowi – ludzie mówili, że chyba do Rumunii. Kościół obsługiwała kobieta, matka gospodarza z sąsiedztwa. Rusczy zażądali od niej kluczy i weszli do kościoła, gdzie zorientowali się, że obrazu nie ma. Pytali ją, a ona im powiedziała, że przecież zabrali go ich żołnierze, że przyjechali ciężarówką, że wleźli w butach na ołtarz, i wreszcie że wyrwali obraz z umocnień i potem natychmiast odjechali. Pokazała odwrotny kierunek. Rzucili się w szalonym pośpiechu w pogoń.

W czasie, kiedy trwała budowa kościoła, w naszym gospodarstwie ciągle coś jeszcze wykańczaliśmy. Stolarz doradził, by zlikwidować mały balkon, na który nie można było wejść od wnętrza mieszkania. Zawsze trzeba było drugą stroną zejść przez ganek, obejść dom i dopiero wchodziło się na balkon. Tylko chłopcy mieli uciechę, bo wczynie wchodzili i wychodzili oknami. Jakoś tak to źle było zrobione. A więc dobudowaliśmy ogromną werandę, całą oszkloną, przedzieliliśmy ją na pół zasłoną; w jednej połowie

była zrobiona sypialnia na lato dla dzieci, a do drugiej wychodziło się ze stołowego pokoju. Latem robiłam tam podwieczorki lub przyjmowałam gości. Widok był przepiękny: koło domu klomby i rabaty, aż kipały od kwiatów, dalej zaś sad. Schodziło się z werandy szerokimi

przyjmowaliśmy ich i zawsze dobrze traktowaliśmy.

Mąż z drugim osadnikiem wydzierżawił wtedy czterdzieści pięć hektarów ziemi od instruktora – Świrskiego, którego złożył paraliż. Po uporaniu się z budową werandy mąż musiał zacząć stawiać nowe



Bajonówka. Pamiątka z poświęcenia domu ludowego. W środku siedzi ksiądz Kąkol, na prawo od niego stoi Julia Klusek. 05 listopada 1934 roku

schodami wprost do tego rajskiego ogrodu.

Teraz też mogliśmy sobie kupić elegancką bryczkę do wyjazdów – choćby do kościoła. W stajni stały już cztery konie; do nich zawsze był parobek. Była i dziewczyna na służbie – z Polesia często przychodzili szukać pracy. Jak potrzeba było, to

chlewy, bo stare przerobiliśmy na wędzarnię tytoniu. Z tytoniem bowiem było najwięcej pracy, zwłaszcza że zawsze mieliśmy dużą plantację.

Sylwuś w tym czasie był drugi rok w gimnazjum w Równem, mieszkał w bursie, którą osadnicy wybudowali dla swoich dzieci. Cze-

sio od września miał iść do Szkoły Handlowej i także mieszkać w bur-sie.

Nasze gospodarstwo było już całkowicie ukończone i najładniejsze w powiecie. Mogliśmy nareszcie odetchnąć.

Był rok 1939.

Dzień 1 września tego roku pa-miętam godzina po godzinie.

Mąż młócił zboże u sąsiada, młodsze dzieci poszły pierwszy raz do szkoły, starsi chłopcy wyjechali do Równego, ja zajęta byłam pra-cami domowymi. Była godzina 3 po południu, kiedy włączyłam radio. Usłyszałam, jak Warszawa woła: Wojna! Dziś rano Niemcy napadły na Polskę! Przerazona, pobiegłam do sąsiada, Franuś zatrzymał ma-szynę, wszyscy obstąpili radio, a tam bez przerwy: Uwaga – nad-chodzi. I za chwilę: przeszedł.

Kobiety płakały. Wszyscy przy-gnębieni byli tą wiadomością. Ale zaraz padały głosy, że przecież osu-szono Polesie, że tam na pewno zro-bią jakieś umocnienia, żeby zatrzy-mać najeźdźcę. Sylwus i Czesio - jako młodzi harcerze - przyjechali na rowerach i krzyczeli, że my, Po-lacy, wypędzimy szwabów czapka-mi. Zewsząd schodzili się osadnicy, oglądali mapy i mędrkowali, że na pewno tu i tu ich podpuszczą, potem otoczą i będzie po wszystkim. Lecz

tak się nie stało. Niemcy wciąż parli naprzód. Nadchodziły coraz to now-sze i coraz straszniejsze wiadomo-ści. W kilka dni potem niemieckie samoloty zbombardowały stację ko-lejową w Równem i zrzuciły rów-nież bomby na pobliski Łuck. Na-stępnej nocy hitlerowcy zbombar-dowali stację w Dubnie. Stał tam pociąg z amunicją. Wszystko eks-plodowało. Wybuchy słycać było w promieniu kilkudziesięciu kilome-trów, a na całym niebie jaśniała ogromna luna. Nastaly dni pełne grozy.

Do naszej osady przyszło dwóch kapucynów. Poprosili o nocleg i by mogli trochę odpocząć. Franuś chciał sprawdzić ich dokumenty (był wtedy sołtysiem), ale oni tłumaczyli się, że im po drodze zginęły. Jechali podobno motocyklem i ostrzelał ich niemiecki samolot, że ledwie, „z du-szą na ramieniu” uciekli. W dzień wychodzili do sadu, rozkładali ja-kieś książki, a gdy przelatywał sa-molot, to starali się go rozpoznawać. Zachowywali się podejrzanie. Mąż namówił sąsiada Rzepkę, aby ten ubrał się w mundur i przyszedł z ka-rabinem, by ich obszukać. Przy so-bie nie mieli nic, ale któż mógł wie-dzieć, kim naprawdę byli? Ten są-siad kazał im się wynosić.

Naraz, nie wiadomo skąd, gruchnęła wieść, że wszyscy męż-czyźni mają iść na wschód, na piń-

skie błota. Tam tereny podobno osuszono, pobudowano schrony i miały już się koncentrować wojska polskie, by stawić wrogowi opór. Wieczorem wszyscy mężczyźni zebrali się i uzgodnili, że pójdą oni oraz starsza młodzież. Noc była straszliwie ciemna. Widać tylko było w oddali łuny pożarów. Mąż z Sylwusiem także mieli iść z innymi. Błagałam, żeby zostali, ale nie - pójdą. Przyszykowałam im jedzenie i popakowałam w plecaki. Oni zaś położyli się, w ubraniach, żeby wieczorem chwilę się choć zdrzemnąć, dopóki troszkę się nie rozwidni. Strudzeni i zdenerwowani przeżyciami poprzedniego dnia dospali do rana, a wtedy nie było już sensu wybierać się w drogę. Wszyscy bowiem porozchodzili się. Byłam szczęśliwa, że nigdzie nie poszli. Niedługo okazało się, że cała sprawa była zwykłą plotką (albo celowym kłamstwem, by wciągnąć ich w zasadzkę).

Na drugi dzień była niedziela. Do kościoła poszedł tylko Czesio. Opowiadał po powrocie, że na świecie podobno dzieją się straszne rzeczy, ksiądz mówił bardzo smutne kazanie. Głosił, że być może to ostatni już raz odprawiana jest Msza święta. Wszyscy ludzie płakali i ksiądz z nimi.

Po południu przyszła duża grupa mężczyzn, którzy z rzeszowskiego uciekali przed Niemcami. Wielu w

samych koszulach, boso – jak kogo zastała tragiczna wiadomość. Opowiadali, że Niemcy przywiązują mężczyzn linami do czołgów. Byli przerażeni. U nas zatrzymało się chyba z piętnastu, byli przez kilka dni. U każdego z sąsiadów też wielu pozostawało, by choć trochę odpocząć.

Do nas Niemcy nie doszli. Taka sytuacja, strachu i niepewności, utrzymywała się. Nadszedł 17 września. W tym dniu radio sowieckie bez przerwy nadawało, że oni „druzja”, że idą wyzwolić naród polski z niewoli panów, że idą pomagać. I zdradziecko napadli na Polskę. Wielka była rozpacz, gdy Rosjanie wkroczyli w granice naszego kraju. Ludzie pamiętali ich jeszcze z I wojny światowej.

O godzinie 11 pojawili się już u nas pierwsi – byli na koniach. Od razu zabrali rower, a później pojechali na pole, gdzie mąż właśnie bronował. Wyprzęgli konia i też zabrali, jak wiele innych rzeczy. W ten sposób, od pierwszych chwil tego najazdu przekonaliśmy się, na co stać bolszewików. Później codziennie ogłaszano różne wiadomości i zarządzenia. W naszej osadzie i w innych odczytano rozporządzenie, że wszyscy mężczyźni mają udać się do najbliższej wioski ukraińskiej i muszą tam zdać broń. Z każdej osady mężczyźni szli do innej wioski.

Rosjanie mieli swoje listy, sprawdzali obecność, a potem – jak opowiadał Franuś – jakiś oficer wszedł na stół wystawiany na podwórzu. Był kompletnie pijany i krzyczał po rosyjsku, pieniąc się z nienawiści: „Wszystkich was sukinsyny każę wyrzucić w pień, bo wy pod Kijowem zabiliście mojego ojca. Będę dotąd rżnąć, aż natrafię na zabójcę mojego ojca!” Tak strasznie przeklinał, że wszyscy sądzili, że to już ich ostatnia godzina. Franuś wrócił stamtąd kompletnie „przybity”, więc tylko obrządziliśmy gospodarstwo i poszliśmy spać. Okazało się, że spędziliśmy tę noc spokojnie, zupełnie nieświadomi niebezpieczeństw. Do innych dotarły ostrzeżenia, że Ukraińcy będą mordować Polaków. Ludzie w nocy siedzieli w polu, w ziemniakach, po jarach – gdzie kto mógł i gdzie czuł się bezpiecznie. Na następną noc sąsiedzi poschodzili się do nas z całymi rodzinami. W przechowalni na owoce rozłożyliśmy słomę, na niej pościel. Mężczyźni zamknęli nas z zewnątrz, a sami rozstawili się na warcie z siekierami, widłami, co kto miał pod ręką, bo wszelką inną broń już Rosjanie pozabierali. Było nas w środku chyba ze 30 osób. Dzieci bały się, płakały, trzeba było zapalić naftowe latarnie. Wytworzył się smród nie do zniesienia. Wytrzymałyśmy pół nocy, a potem ledwie udało się kogoś dowołać,

bo w pobliżu nie było żywej duszy. Postanowiliśmy więc nie nocować poza domem.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że ludzie z drugiego końca osady siedzieli z dziećmi na wozach w lesie. Gdy się rozwidniło, zobaczyliśmy, że byli z nimi również Ukraińcy. Wypytywaliśmy jednych i drugich, dlaczego się tu kryją, aż wyszło na jaw, że jakiś Ukrainiec straszyl wszystkich groźnymi przypowieściami, by wywołać zamęt. W innym miejscu rozpuszczono pogłoskę, że Polacy wymordowali całą rodzinę Ukraińców. Natychmiast przyjechała komisja z Moskwy. Nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca zamieszkania. Gdy pojechali do wskazanej wioski, okazało się, że to nie ma być tam, że w innej wsi. W tej drugiej znowu mieszkańcy mówili, że na pewno Polacy wymordowali całą ukraińską wieś, ale to także nie tu, a w innym miejscu. Tak komisja jeździła z miejsca na miejsce, a samoloty bez przerwy krążyły nad osadami. Wszystkie cztery osady zostały okopane rowami i otoczone wojskiem. Gdyby wtedy zginął choć jeden Ukrainiec, chybaby nikt z życiem nie uszedł, a wszystko zamieniliby w proch.

Te dni, pamiętam, przepełnione były strachem. Wszyscy wyczuwali, że stanie się coś niedobrego. I tak zastał nas dzień 17 października. W

tym pamiętnym dniu rano, o godzinie 6, zanim jeszcze zdążyliśmy wyjść na podwórze, rozległo się ostre walenie w drzwi. Było jeszcze ciemno. Wystraszeni oboje z mężem wyszliśmy przed dom. Stało tam dwóch Ukraińców z czerwonymi opaskami na rękawach i uzbrojonych w karabiny. Nakazali nam wynieść się z naszego domu najpóźniej do godziny 12. Kto po tej godzinie będzie się znajdował jeszcze w obrębie gospodarstwa, zostanie na podwórzu rozstrzelany. Zapytaliśmy ich, gdzie mamy iść? Odpowiedzieli, że dokąd chcemy. Od tej chwili nic już tu nie było nasze. Z Ukraińcami z czasem współżycie układało się jak najlepiej. Pożyczali od nas stale zboże na przednówku, pożyczali duży wóz do odstawiania chmielu, przychodzili się radzić, co i jak siać. Mąż uczył ich szczepić drzewka owocowe i zakładać pasieki, dziewczyny pożyczały pieniądze na stroje, a później przychodziły „na odrobek”. Dzieci ukraińskie chodziły do naszych szkół, często maszerowały razem z naszymi śpiewając: *Jeszcze Polska nie zginęła...* A teraz nas wyrzucają i to ci właśnie, dobrzy znajomi. W tym dniu z osady wysiedlili tylko nas, bo byliśmy najbogatsi. Posłałam z mężem jeszcze najpierw do obrządku: karmić konie, świnie, kury, doić krowy jakby do nas nie dotarła jeszcze ta straszna

prawda. Dopiero potem zaczęliśmy się zbierać. Ale co brać? Dokąd iść? Rozpadał się deszcz, jakby samo niebo rozpląkało się nad naszym losem. Na całym podwórzu pełno Ukraińców, już się nie mogą doczekać, kiedy wreszcie oni dorwą się do naszego dziewiętnastoletniego, w tak krwawym trudzie gromadzonego dorobku.

Zaczęliśmy pakować do worków pierzyny, poduszki i kołdry, żeby nas siedmioro miało pod czym spać. Ubrań zbyt wiele nie było, bo do tychczas wszystkie pieniądze szły w gospodarstwo. Ale i tak już trochę porządnych rzeczy się pokupowało. Mąż miał smoking, który sprawił sobie z okazji poświęcenia szkoły oraz dwa nowe garnitury. Oprócz tego jedną parę butów i oficerki oraz kozuch. Ja miałam porządne palto, kilka jedwabnych sukienek, dwie pary lakierków. Dzieci po jednym ubranku harcerskim i trochę innych, przechodzonych ubrań. Czesio do swojego worka zabrał walonki ojca, a Zosia miała wtedy 7 lat - wzięła do swojej teczki amerykańskie nożyczki, które miały się potem bardzo przydać, jakiś widelec, nóż i trochę różnych drobiazgów. Nikt nie pamiętał o chlebie. Nie wzięliśmy nic do jedzenia, a do Równego było 15 kilometrów.

c.d.n.